

swym mieczem o podwójnym ostrzu. Wówczas dopiero ujrzałem uśmiech na jego ustach. A był to widok najstraszniejszy, jaki widzieć mi się zdarzyło kiedykolwiek.

Na pół zdecydowany do wyznania wszystkiego, podniosłem oczy na mateczkę. Pochyliła postać swoją naprzód i wpatrywała się w płomień, złączony łagodnym światłem jej twarzy bladą i prześliczną oczu. Pomnę wybornie, jak wydawała mi się wówczas dobrą i zarazem jak bardzo zmęczoną. Kształtna jej kibić, głowa i ramiona rzucały cień na ścianę lekko żarżowioną od ognia. Serce tłukło się w jej łonie niewypowiedzianą tęsknotą za tym, który nie wracał. Nie rozumiałem tego wtedy należycie, bo dzieci nawet najinteligentniejsze i najbardziej rozwinięte, nie są w stanie pojąć cierpień dojrzałego wieku.

Przerzuciłem znowu parę kartek w książce i na jedną spojrziałem przypadkiem. Przeczytałem na niej:

„Wówczas Chrześcijanin zaczął się bać i zadał sobie pytanie: czy ma się cofnąć, czy też utrzymać grunt zdobyty. Lecz zastanowił się, że zbroja jego nie zasłania mu pleców, więc gdy się odwróci, nieprzyjaciół może z tego skorzystać i przeszyć go swoimi grotami. Postanowił zatem stawić mu czoło“.

Zadumałem się. Słowa, które wypowiedział mój Apollyon, tylko już może nieco przez dziecienną pamięć przeobrażone i zmienione, stały mi na myśli: „Przychodzę niekiedy, gdy leżą w łóżku, niekiedy zaś czaję się za ich plecami“.

A gdybym się poradził?!

Lecz co to jest?!

To była łza, spadająca na moją rękę, leżącą na kolanach matki. Od dnia, w którym ojciec wyjechał, nie widziałem jej płaczącej. Czyżby roniła łzy z powodu mego kłamstwa?

Podniosłem znowu oczy w górę i dostrzegłem w jej żrenicach ogrom bólu i zmartwienia, więc zapomniałem nagle o wszystkich moich obawach i wątpleniach. Pragnąłem mówić i powiedzieć jej wszystko.

— Mateczko!

Zawstydzona nieco, że spostrzegłem jej smutek, otarła szybko oczy i starała się uśmiechnąć jakimś biednym, nieszczęśliwym uśmiechem, który przywołała na drżące wargi zaledwie dostrzedz się dający promyk sztucznej, przymuszanej wesołości.

— O co ci chodzi, Kasperku?

— Czy Apollyon żyje?

— Jest on, mój synu, symbolem całej potęgi zła na świecie, a potęga taka bywa wiecznie żywa.

— Nie szło mi o to, mateczko. Chciałbym wiedzieć, czy on, jak zwykły człowiek stąpa po naszej ziemi? Czy rzeczywiście żyje jeszcze?

— Ależ nie, Kasperku! Skąd podobne głupstwo przyszło ci do głowy?

— Bo, kochana mam, ja go dziś spotkałem. Powiedział mi sam, że jest Apollyonem i że przyjdzie mnie porwać, jeśli...

Gdy to mówiłem, nieco poniekąd przerażony moją śmiałością, spojrziałem wokół siebie. W pierwszej chwili wzrok mój nie napotkał nic innego, prócz dobrze mi znanych mebli i sprzętów, oraz cieni dwu postaci — mamy i mojej — poruszających się na ścianie w miarę naszych poruszeń. Wtem zwróciłem oczy na okno. Zatrzymały się one na nim i oderwać się od niego nie mogły. Równocześnie uczułem, że serce w piersi skurczyło mi się i ścisnęło od strachu, a język w ustach zatrzymał się i skołował, jakby tknięty paraliżem.

Nagle załamanie się mego głosu sprawiło, że matka spojrzała na mnie. Widząc unieruchomione moje żrenice, utkwione w jeden punkt, oraz wargi kurczowo wykrzywione, zwróciła także wzrok swój na okno. Poczem zerwała się na równe nogi i krzyknęła przeraźliwie.

Bo przez okno, uśmiechając się szyderczo i okrutnie, patrzył na nas majtek Rodofani o śniadym i bladym licu.

W ciągu paru sekund, skamieniali ze strachu i wstępu, przyglądaliśmy mu się oboje.

Uśmiech jego trwał długi moment, odkrywając w czerwonych jak krew ustach białe zęby i paląc się w głębokich, wilczych oczach dyabelskim płomieniem złości i nienawiści. Następnie przemienił się w głośny, grozą przejmujący chichot... i rozpiął się wreszcie w cieniach wieczora.

Więc mówił prawdę, gdy przyrzekał, że będzie mnie nawiedzać. Gdyby nie śmiertelna trwoga, nie doznawałbym z tego powodu wielkiego zdziwienia. Uważałem za rzecz zupełnie naturalną, że powraca, bo wszakże zagroził, że pojawiać się ma od czasu do czasu. Tylko opanowała mnie straszna obawa na myśl, że mścić się będzie niezawodnie. Czułem się do najwyższego stopnia zaniepokojony skutkami mo-

jej nierozwagi i zuchwalstwa. Instyktownie obróciłem się ku matce, aby oddać się pod jej opiekę i obronę.

Lecz...

Co się z nią stało?

Z ustami wykrzywionymi i rozwartymi upadła na fotel, z którego zerwała się przed chwilą i patrzyła dalej wciąż w okno, które mniej więcej minutę temu tworzyło ramę do ohydnej twarzy. Gdy przemówiła nareszcie, z warg jej posypały się wyrazy, pozbawione wszelkiego sensu i znaczenia. Wy-mawiała je, wybuchając jakimś śmiechem szyderczym, napełniającym moje serce okropnym niepokojem i bolesnem, na wskrós mnie przejmującym strapieniem.

— Mam! już go niema? Powiedz, co ci jest?

Znowu wyszeptała kilka słów bez związku i znowu zaniosła się dziwnym, wstrząsającym nerwami śmiechem.

Powtarzało się to dalej w ciągu całej, okropnej nocy — dla mnie już drugiej bezsennej. Szeptała i śmiała się naprzemian, gdy przerażony i pozbawiony wszelkiej pomocy, usiłowałem ją uspokoić i przywołać do zdrowych zmysłów. Czas włókł się nieznośnie długo. Klęcząc przed nią, oczekiwałem na wschód słońca z gorączkową niecierpliwością. Zegar wydzwaniał godzinę po godzinie, a stan jej nie zmieniał się ani na jotę. Nie odzyskiwała przytomności wcale. Myszy, jak zwykle, wychodziły ze swych kryjówek, lecz przestraszone jej śmiechem, cofały się do nich napowrót. Ogień zgasił i zgasły świece. Na dworze wiatr jęczał i zawodził żałośnie; gałęzie tamarysu uderzały o szyby. Cisza nocna, przerywana tylko kiedy niekiedy właściwym sobie tajemniczym jakimś pomrukiem lub szelestem, zapanała wszechwładnie w domu i za domem. Ona zaś ciągle patrząc w okno, szeptała zmienionym głosem słowa, w których nie było śladu jej dawnych myśli. Nareszcie blady brzask rozświetlił nieco pokój, a po nim powoli... powoli zajął i dzień przez okna, lecz chmurny jakiś i smutny. Zastał nas w tym samym stanie, w jaki nas pogrążył okropny wzrok i bardziej jeszcze przerażający złośliwy uśmiech zbrodniarza.

Wiać z dniem odzyskałem nieco odwagi. Gdybyśmy w Lantrig mieli sąsiadów, dawnobym ich wezwał na pomoc, lecz Polkimbra była najbliższą nas miejscowością zaludnioną, a oddaloną o dwie mile od naszego domu. Nadto, żeby dojść do niej, trzeba było przebyć drogę, na której czyhać mogły nowe niebezpieczeństwa i na której spotkałbym się może znowu z człowiekiem o twarzy dyabelskiej. A przytem, jakżeby na noc mógł pozostawić matkę samą! Lecz teraz, gdy się rozwidniło, postanowiłem udać się do Lizard i poprosić wuję Loveday, aby nas odwiedził. Wdziałem trzewiki, zarygnowałem boczne wejście, rzuciłem okiem na nieprzytomną mateczkę, ciągle siedzącą w swoim fotelu — i wybiegłem. Odgłos jej bezmyślnego śmiechu doleciał uszu moich, gdy zamykałem główne drzwi starannie.

Oslabiony, tocząc w około błędnymi, bo zmęczonymi bezsennością oczami, ruszyłem żwawo górną drogą ponad skałami, potykając się ciągle na kamieniach i głazach, których nieraz w czas nie spostrzegłem. Poniżej mnie skałę Umarłego otulała jeszcze zasłona z mgły. Gęste chmury nadciągały od strony morza. Szare światło wczesnego ranka nadawało niebu, ziemi i morzu ton bladawy, jakby obłokami z góry przyćmiony. Ja jednak, nie zważając na to, pędziłem z całych sił ku Polkimbrze.

Dotarłszy wreszcie do osady, będącej raczej wsią, niż miasteczkiem, zbiegłem z pagórka i zapukałem do drzwi znanej mi karczmy. Boże! jakże długo czekać musiałem na znak, świadczący o niezamierzeniu w niej życia. Nareszcie w oknie pierwszego piętra ukazała się głowa oberżystki. Zamieniwszy kilka słów z panią Busvargus, zasnęła kobieta, która natychmiast zaczęła się ubierać, łącząc ubieranie z mnóstwem czułych wykrzykników, pognałem znowu dalej drogą, wijącą się między piaszczystymi wzgórzami, wzdłuż brzegów morza, aż do Lizard. Siły mnie opuszczały, kręciło się w głowie, zebra bolały, nogi odmawiały posłuszeństwa, a tysiąc drobnych iskierek tańczyło mi w oczach. Jednakże znużenie mnie nie pokonało, chwając się i potykając, lecz wciąż pędząc naprzód, znalazłem się nareszcie przed domem wujaszka.

Tam upadłem zemdłony, lecz na szczęście przed drzwiami i tak, że w kilka minut potem doznałem wrażenia, że ciotka Elżbieta pochyliła się nademną i patrząc na leżącego u jej nóg malca, jak na zbrodniarza, przyłapanego na gorącym uczynku popełnionej zbrodni, zawołała:

— No, no! co to znaczy?!... Ależ to Kasper! Wcale nie mądry żart, obudzić nas niespodzianie, waląc w drzwi całą swoją osobą. Co ci się, dziecko, stało? Co ci jest Kasper?

Bez ładu i związku, lecz pospiesznie, opowiedziałem całą historię: naprzód ciotkę, potem wujowi, przywołanemu przez żonę. I on i ona czas jakiś milczeli, pogrążeni w pełnym podziwu zamyśleniu.

Oboje nie byli ani wykwinie, ani nawet przyzwyczajeni ubrani. Ciotkę Elżbietę, co prawda, osłaniała olbrzymia peleryna z Inwerness, która mogłaby również służyć wujowi, gdyby nie wydała mi się za duża na tak małego, jak on, człowieka. Tylko czepek nocny był ostentacyjnie cioci wyłączną własnością. Żadna inna kobieta nie odważyłaby się włożyć go na głowę. Kostium wuja był niemniej szczególny. Po raz pierwszy ujrzałem wujaszka bez guzików mosiężnych i po raz pierwszy zrozumiałem, jak wiele zawdzięczał tej niepowседневnej ornamentacji. Po dość długim zastanowieniu się, zagadał nareszcie.

— Mam nadzieję, Kasper, że mówisz prawdę. Matka twoja opowiadała mi wczoraj nieprawdopodobną historię o jakiejś „Annie Maryi“, czy też o innym statku, o którym coś bajeś. Chcę wierzyć, że dzisiejsza relacja nie jest nowym zmyśleniem, bo przecież nieraz ci już mówiłem, co czeka małych chłopców, którzy kłamią.

Blada i smutna twarz moja musiała być gwarancją mojej prawdomówności, bo ciotka przerwała wujowi potok jego wymowy jednym słowem:

— Śniadanie!

I popchnęła mnie ku drzwiom wchodowym. Oboje tymczasem poszli się ubierać.

Czekając w małym saloniku na parterze, posłyszałem tentent kopyt kuca, wyprowadzonego ze stajni i zatrzymującego się przed domem. W tejże chwili weszła ciotka Elżbieta, już w zwykłym ubiorze, żeby popędzić małą pokojówkę, zajmującą się zbyt powolnie przygotowaniem śniadania. Czy wuj je spożył, nie wiem po dziś dzień, bo wtedy właśnie, gdy je przygotowywano, ujrzałem go żwawo wsiadającego do karyolki i oddalającego się w kierunku Lantrig. Ciotka zaś powiedziała, że wyjść mi nie pozwoli, dopóki się czemś nie posilę. Wprawdzie byłem bardzo zgnębiony i smutny, lecz nie śmiałem dać dowodu nieposłuszeństwa, więc zabrałem się do śniadania, zwłaszcza, że mi już głód dokuczał srodo.

Zaledwie jeść zacząłem, gdy otworzyły się drzwi od saloniku i wszedł mój Tomasz Loveday.

Tomcio, liczył wówczas około ośmiu wiosen. Ponieważ nie miał własnego rodzinnego domu, więc rezydował stale u mego wuja, który był jego stryjem. Pierwsze lata swego żywota spędził w Indyach. Gdy ojciec jego i matka zmarli w Madras, wysłano go do Anglii, do Lizard, gdzie zakorzenił się na dobre. Dotąd istnienie jego było jednym, długim snem, kiedy niekiedy tylko przerywanym czuwaniem. Ile razy, w czasie rzadkich wizyt, oddawanych mi w Lantrig, wysłano nas obu — jak to zwykle mówią ludzie starsi — „bawić się razem“, tyle razy Tomasz, według niezmienniej reguły, kładł się spać w pierwszym lepszym miejscu do przespania się odpowiedniem. To też obecność jego nigdy nie sprawiała mi kłopotu.

Był to ładny chłopiec o oczach niebieskich, długich rzęsach i wijących się w loki włosach. Miał przytem głos miły i dźwięczny. Gdy go później poznałem bliżej i lepiej, oceniłem należycie jego bystry umysł i wrodzony mu czar subtelnych uczuć, ukryty pod manierami rozleniwionego próżniaka. Lecz wtedy dusza Tomasza Loveday jeszcze spała.

Gdy wszedł do saloniku, nie był widocznie jeszcze zupełnie rozbudzony. Ujrawszy mnie, skinął sennie głową na przywitanie i nie okazując wcale zdziwienia z powodu mojego tak wczesnego pojawienia się w Lizard, zabrał się do jedzenia. Od czasu do czasu, gdy ciotka zadawała mi jakieś nowe pytanie, spoglądał na nią dość długo, nie dając przytem żadnego innego znaku życia. Widocznie to jego przyglądanie się zniecierpliwilo ciotkę, bo rzekła:

— Tomciu, nie patrz na mnie!

Tomasz spojrzął na nią znowu ze zdziwieniem i spytał:

— Dlaczego?

— Czy mu się zdaje, że jestem dziką Indyanką?

Zapytanie zwrócone było do mnie, lecz ja nie wiedząc, co mam odpowiedzieć, milczałem. Tomasz wyprowadził mnie z kłopotu, sam bowiem odparł:

— Nie.

— Zatem dlaczego mi się tak przyglądasz. Daję słowo, że nie zdaję sobie sprawy nieraz z czego się składa mózg małego chłopca?

— Z ciała ślimaków i psich ogonów — szepnął sennym głosem.

(Ciąg dalszy nastąpi).